

Fantomowy ból po babci Pepi i jej rodzinie

AGNIESZKA GLIŃSKA | O premierze „Z biegiem lat, z biegiem dni”, która odbędzie się w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie 20 maja – opowiada wybitna reżyserka.



W: W połowie lat 90., na samym początku swojej działalności, pracowała pani w Krakowie, ale potem nastąpiła długa przerwa. Dlaczego?

AGNIESZKA GLIŃSKA: Rzeczywiście, zaczynałam w Krakowie. W Starym Teatrze wystawiłam „Niebo-Piekło” Prospera Mérimée i „Kram Karoliny” Michela de Ghelderode. Później pracowałam jeszcze w Teatrze STU. Propozycja od dyrektora Krzysztofa Gluchowskiego i Bartka Szydlowskiego oraz zaproszenie do Teatru im. Słowackiego przyszły w momencie, gdy oddalałam się od teatru i wątpiłam, czy do niego wrócę.

Zapolska, Perzyński, Rittner stanowili osobny i nieduży rozdział w pani dorobku, a właśnie na Młodej Polsce bazował scenariusz Joanny Olczak-Ronikier „Z biegiem lat, z biegiem dni”. Ceni pani te dobrze skrojone sztuki?

Lubię „małą klasykę” i ten czas w literaturze oraz sztuce. A wszystko ma taką wartość, jaką sami stworzymy. Dotyczy to również tekstów teatralnych. Uważam, że Zapolska, Perzyński, Kisielewski zasługują na uwagę, choć nie do końca da się ich sztukami opowiedzieć dzisiejszy świat.

Legendarny już krakowski spektakl i serial wyreżyserował pani profesor

Andrzej Wajda. Rozmawiała może pani z nim na ten temat? Co mu pani zawdzięcza?

Pomyśl na te realizacje powstał w mojej głowie po śmierci pana Andrzeja i w pewnym stopniu z myślenia o Nim i o tym, co nam zostawił. Jestem wdzięczna losowi za to, że mogłam spotkać Andrzeja Wajdę i pracować z Nim. Jego pasja, żar twórczy, przenikliwość obserwacji, szerokość myślenia, bezkompromisowość i klasa są dla mnie punktem odniesienia.

Jaką ofertę sformułował dla pani dyrektor Krzysztof Gluchowski i Bartosz

CV

Agnieszka Glińska, aktorka, reżyserka, była dyrektorka warszawskiego Teatru Studio. Ukończyła Wydział Aktorski i Reżyserii Dramatu warszawskiej PWST (obecnie Akademia Teatralna). Przetomową inscenizacją była „Jordan” Moiry Buffini i Anny Reynolds. Na scenie Ateneum pokazała m.in. inscenizacje „Korowodu” Arthura Schnitzlera, „Opowieści Lasku Wiedeńskiego” Odon von Horvatha. W warszawskim Powszechnym wystawiła „Trzy siostry” Czechowa i „Kalekę z Inishmaan” Martina McDonagha. We Współczesnym znakomicie przyjęło „Imię” Jona Fosse’a oraz „Bambini di Praga”. W Narodowym wyreżyserowała m.in. „2 maja”, „Lekkomyślną siostrę” zaś w Dramatycznym rewelacyjne „Opowieści o zwyczajnym szaleństwie” i „Pippi Pończoszanek”. W Studio powstała m.in. „Mewa” oraz „Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku”. ■

Szydlowski i jak przerodziła się w opowieść o pani babci? Kim była i jak się pani o niej dowiedziała?

Dostałam propozycję pracy na dużej scenie. Po prostu. Tyle tylko, że ta scena jest niezwykła, szczególna i przez to bardzo wymagająca. Tu chodzą duchy teatru i mieszka jego wielka historia. Postanowiłam zderzyć duchy Krakowa z moimi. Skonfrontować się z milczeniem. Przywołuję moją prababcię Pepi, która żyła tu, w Krakowie, w zasymilowanej żydowskiej, mieszczańskiej rodzinie. Jest silnie obecna w moich myślach od kilku lat, od momentu, kiedy

zmarł mój dziadek, który tuż przed śmiercią zdecydował się powiedzieć nam prawdę. Objawił skrywaną przez kilkadziesiąt lat rodzinną tajemnicę, rodzinne tabu. Historia prababci i całej dużej rodziny, o której istnieniu nie miałam pojęcia, na stałe zagościła w moich myślach, snach, wyobrazeniach o nich. Obiecywałam sobie, że przyjadę kiedyś do Krakowa, zacznę szperać po księgach, dokumentach, będę chciała coś zrobić z tą ujawnioną nagle rodzinną tajemnicą. Potem dostałam propozycję od Bartosza Szydlowskiego i Krzysztofa Gluchowskiego. Wyobraziłam sobie moją babcię Pepi w Teatrze Miejskim na premierze, to wszystko stało się bardzo realne i namacalne wręcz, zderzone z pustką, urwaną pamięcią.

Co zmienia w człowieku tak nagle odkryta rodzinna historia?

Rzecz nie jest o mnie. Nie zajmuje się sobą ani swoimi emocjami. W tym spektaklu pytam o cały wymazany świat, o milczenie, o strach, który każe milczeć. Pytam o Pepi, bo nie byłoby mnie tu, gdyby jej nie było. To jest taki bardzo szczególny przypadek. W moim doświadczeniu teatralnym zdarzyło się może raz czy dwa, że sprawy zawodowe i prywatne znalazły punkt, w którym się spotkały.

Dziś Kraków promuje się Kazimierzem, oferuje postholokaustowe wyprawy do Auschwitz, ale w filmie nie było wielu żydowskich postaci. Jak będzie w pani spektaklu?

W tych zapisanych na kartach młodopolskich dramatów historiach jest tylko karczmarsz Żyd wzięty żywcem ze stereotypu i Rachela. Inna, dziwna,

nieprzystająca. Dlatego w spektaklu równolegle z fragmentami scenariusza „Z biegiem lat...” postanowiłam opowiedzieć historię Pepi.

Jakich jeszcze elementów możemy się spodziewać w scenariuszu – chodzi o tematy, postaci oraz proporcje między materiałem autorskim i młodopolskim?

Wybrałam z tekstu stworzonego przez panią Joannę Olczak-Ronikier te wątki i sekwencje, które mnie dotyczą, obchodzą, bołą. Postaci ze sztuk mieszają się z realnymi – ze Stanisławem Przybyszewskim, jego żoną Dagny, Michałem Bałuckim, Tadeuszem Boyem-Żeleńskim i Garbriela Zapolską. Partie jej dotyczące dopisałam, korzystając z jej listów. Zdarzenia i ludzie odbijają się w sobie. Zasada adaptacji jest taka, że aktorzy z jednej postaci przechodzą w drugą. Płynnie, naturalnie.

Pracowała pani zazwyczaj z aktorami, których pani dobrze знаła. Jakie doświadczenie przyniosła współpraca z aktorami Słowackiego?

Spędziłam ostatnie 15 lat, pracując w Warszawie. W każdym teatrze, w którym byłam, znajdowała się grupa ludzi, z którą udawało się wytworzyć coś więcej niż wspólny język – rodzaj więzi. Część zaryzykowała swój los, przychodząc do Teatru Studio. I te cztery lata to był wspaniały, wielki czas dla nas. Zawodowo i jeśli chodzi o ludzkie relacje. A teraz zaczynam od nowa. I myślę, że mam wiele szczęścia, bo w tej nowej podróży trafiłam na tak fantastyczny zespół jak tu, w Słowackim. ☺

—rozmawiał Tomasz Wierzbicki